

Grocholska Ehbüta

Dubin 2,3

63-930 Jabrosin tel. 79

soj. Lesno

Konkurs „Tysiecleni”

Ponieważ myślałam stale aby opisać swoje i rodzinny przeżycia w czasie okupacji opłosenie w garzeie doświadczeni otuchy, Ponieważ jestem na emeryturze posiadłam więcej czasu i myśl która mnie stale dręczyła zostanie przekazana na papier.

Urodziłam się 1930 r. jestem z domu Stanisławy Franciszka Hybierabkich. Byłam najstarszą i dwóch młodszych braci. Rodzice posiadali gospodarstwo rolne 17 ha.

Gdy wybuchła wojna myszczyliśmy uciekać przed Niemcami między innymi mój ojciec rowerem był air pool Zeonem.

Powrócił po 6 tygodniach wychudziony i wycieńczony.

Mama zajęła pracę a my baliśmy się karolego samolatu.

Zaraz w 1939 r. wyprzedzili nauczycieli, a dzieci uczyli w szkole po niemiecku.

W 1940-11 listopada o 4-tej w nocy waleniem kulbami w drzwi obudzili nas 4 „kółci” Niemcy którzy chcieli 4 takich mundurach. Jeden poszedł z ojcem zaprzęgać konie do wozu, a drugi stał na drodze mama i dziećmi aby jak najszybciej nas ubierali, a dzieci zbudzone ze snu wystraszone matczyńsko nie wiedzieli co przelko wzięć w rękę. Zabrać można było tylko tyle co mogli unieść w rękach.

Mama zabrała trochę rzeczy do dzieci i jedną pierniczkę ma 5 osób, chciała wziąć trochę mąki to kamul zastawić pierniczkę.

W tym krótkim czasie i pod karabinem ta biedna mama wzięła bukik do ręki ale i to musiało zostać. Miata trochę złotej biżuterii wszystko zostało.

W pół godziny wszystko musiało być gotowe i staliśmy w ulicy i czekali aż wszyscy się zbiorą.

Mama karała mi wciąż i zostać u babci, ale jako 10 letnia wolalam jechać z rodzicami na tutajkę i poniewierkę.

W tym dniu wysiedlono 11 rodzin z naszej wioski posiadających największe gospodarstwa. Jechaliśmy rano do Szwecji. W kościele który obecnie jest kościół pod wezwaniem „Dobroć Boboli” był punkt zborny także z innych wiosek. Nas zostawili a innymi jechali na dworzec kolejowy po miernców którzy zaraz jechali na masę gospodarstwa. Nas pędzili jak sparanoś do dworca.

Stale mi w głowie jeden gospodarz miał okiecko kalę w cynkowej wannie, prosił że mieli go zostawić, albo zabijcie mnie i to okiecko, to przyjechali ciężarówką i zabrali i kilka starych osób przewieźli do dworca.

Zawieźli nas do Szwecji. Najpierw było tak zwane odwiezanie wzięli do naya, rozpinali kobiety wosy i białe stanowe szukając złota i pieniędzy a bili przy tym pałkami.

Umieścili nas w chali jakiejś fabryki na bartoğu jedne przy drugim. Tam byliśmy kilka dni aż wzięli rzeczy i czekałi za pociągami towarowym. Pierwszego wieczoru późną godziną kazali się wszystkim spakować i stać na podwórku, tego nie samowicie. Andriška z tymi biedakami na plecach tak musieliśmy stać na tym dziedziu aż przewoźki, był to listopad para z tych ludzi stała jak z obary.

Wtedy kazali iść do góry bo nie ma pociągu. Żuchiska porozbięrali się porozwieszać trochę te przenośne rzeczy aby trochę obrachty położyli się spać.

Za godzinę przyszli Niemcy ubierali się bo nadzreśli pociąg. Pełnili jak bydlęta obstawione wojskiem, a idąc w polskie szwiny, tak nawoływali po niemiecku.

W pierwszym momencie Niemiec wota tenże zaśpierszyje "kto się w opiekę" kobiecina jakiś się odepwała to się spieniała poprzobem. Wzięli nas aż do Zamościa i tam w łagrze trzymali nas kilka dni żywiąc nas 3 razy dziennie małą kaszą, ja nie mogłam przekonać, wrzycę rli, a ja płakałam, ale jak skwinorył się chleb musiało tam się przeprosić.

Aż tamtożel przywieźli nas koło Warszawa, my dostaliśmy w Markach drewnianą chatkę daleko w polu w której miał chłubić. Była tam razem z nami ojca siostra z mężem i 5-cio letnim synkiem. Ojciec z wyjem poszli do urzędu gminy prosić o inne mieszkanie.

Dostaliśmy w Pułtusku I w piętrowej kamienicy po 2y dach, bo żytki byli już w gacie. Dostaliśmy prócz z kuchnią. Wujostwo zajęli kuchnię, a matka rodzina pokój ale furte estary sciany, ale dobrej ludkie niepotrzebnych mebelków wycyryli, jedno łóżko było 4 klocki i deski.

Kuchenkę rodzice ulepili z cegły i gliny tzw "suwaczka". Pracy nie było, wrzycę wysielleni chodzili do tam ^{kopac} piwnki, bo tamtejsi ludzie nie chcieli tego robić, bardzo mało płacili. Była tam fabryka laku i terpentyny. Te mnie musiały być w ziemi po ścięciu drzew, aż później je wykopywano i wysięgano żywicę. Bieda była niembelowa obiady dostawaliśmy

Z czerwonego krycia ale brukiew z ziemniakiem się goniły zabie-
rane mlekiem. Chleb był na kartki, bez kartek można było kupić
ale straszenie drogo. Trochę wypracowała mas rozbijana
od czasu do czasu ktoś nam przysłał paczkę. Kiedyś dzie-
dek wysłał przez jakiegoś Niemca trochę wędzonki w nadziei
żeby nie pachniała, przysłał samo siano.

Ziemniaki były na przykład, takie jak urosty w jednym dzie-
ciom. Te najmniejsze były gotowane w łupinach i na
smrodzenie maczone w oleju repakowym.

Kamień mi zmarła mam co chciała jeszcze pisać, a ja
podeszłam i wskazałam jej i powiedziałam że pojede jutro
po przesłaniem to jej dopiero było przykro.

Chleb był straszny, ja chciałam nie mogłam mieć boć jak wiedzę
że się marnuje chleb tak pamiętam tamte czasy.

Dzięki Panu Bogu, ojciec dostał pracę w fabryce ma-
ma robiła szelki na drutach ludzich. I trochę chod-
iła do ogrodnika, to ziemniaki czy pomidory
i już jakoś było trochę lepiej.

Jak przystępowaliśmy z bratem do 1-szej Komuni'ski to nam
wymażyła nam placki ziemniaczane na oleju.

Do kościoła mieliśmy 1 km do Marek, a do szkoły 1 km w
drugą stronę do Pułtewka II. Mając chwile wolne lub
popołudniem chodziliśmy do wywaru jabłek, pomidorów.

Chodziliśmy też do jednego państwa do dziecka, a w zamian
dostaliśmy do kartki, to co tylko mogli nam wynagro-
dzali, bo ci państwo byli też wysiedleni tylko byli w lepszej
sytuacji. Także ^{podpt.} pracowaliśmy w pułtewku i robiliśmy wy-
miny w Warszawie do panollowej gdzie spalili się papierzy.